

SPOTKANIA | BYŁA SOBIE KOBIETA



To pani jest mała i ruda?!

Barbara Krafftówna w tym roku obchodzi 65-lecie pracy na scenie. Nadal dużo pracuje. Nie pije kawy ani herbaty, ćwiczy. W dzieciństwie słyszała: „nie garb się, zachowuj się”. Nie chodziło tylko o dobre maniery, ale i o postawę życiową. Samodyscyplinę. To zostaje w człowieku na zawsze

TEKST ZOFIA FABJANOWSKA-MICYK

Na mieście zawsze umawia się w tym samym miejscu. W warszawskiej kawiarni Wedla przy Szpitalnej. Pojawia się punktualnie co do sekundy, zdejmując płaszcz i czapkę, odsłaniając długie włosy związane w kucyk. Stolik w Wedlu nazywa swoim biurem albo sztabem generalnym. Od lat zamawia to samo. Gorącą czekoladę z miętą.

Wygląda świetnie. Trudno pojąć, że niedawno świętowała swoje 82. urodziny. Nadal jest zabiegana. Gra, jeździ na spotkania z publicznością. Krytycy przywołują jej rolę w filmach Kazimierza Kutza, Andrzeja Wajdy, spektaklach Kazimierza Dejmka, Erwina Axera. Ale zwykli widzowie z setek jej wcieleni najlepiej pamiętają te z telewizji. Narzeczoną Gustlika Honoratę z „Czterech pancernych i psa”, siostrę Wołodyjowskiego z „Przygód pana Michała”. No i kabarety. Pod Egidą, ale przede wszystkim Kabaret Starszych Panów. Występowała w każdym odcinku. Śpiewała „Zakochałam się w czwartek niechcący” w eleganckim kostiumie, słomkowym kapeluszu i rękawiczkach, siedząc między wyfrakowanymi Jeremim Przyborą i Jerzym Wasowskim. Albo z Bohdanem Łazuką w duecie „Przeklnę cię”. I w piosence „W czasie deszczu dzieci się nudzą”, gdzie w fartuszu szkolnym wyglądała jak uczennica, choć w rzeczywistości miała już męża i podrastającego synka. To koniec lat 50. i początek 60., czasy czarno-białej telewizji, przyniósł jej

największą popularność. Kiedy nadawali nowe odcinki „Kabaretu Starszych Panów”, ulice się wyludniały. Ludzie skrzykiwali się na seans u kogoś, kto miał odbiornik, życie towarzyskie kwitło. Przechodnie zaczepiali Krafftównę, gratulowali. Ale też często się dziwili: „o matko, to pani jest mała i ruda?!”.
▷

GDZIE JEST BASIA?!

Kolor włosów długo był jej przekleństwem. Mama – brunetka, ojciec – jasny blondyn, Basia najbardziej podobna była do ciotki, siostry taty. Jako mały rudzielec nie miała łatwo. Dorosli oglądali się za nią na ulicy, od dzieciaków z podwórka słyszała: wiewiórka, marchewka.

– Odetchnęłam już jako dorosła osoba, kiedy nastała moda na farbowanie włosów na rudo. Nagle okazało się, że ten odcień to zaleta, nie wada.

Siedząc w Wedlu, Barbara Krafftówna wspomina, że w czasie okupacji mieszkała z matką i siostrą zaledwie kilka kroków stąd, na ulicy Górskiego. Przed wojną mieli dwa mieszkania. Jedno w Warszawie, drugie na Wołyniu. Ojciec był naczelnym architektem w Łucku. Wołyń, który raz na zawsze opuściły po wkroczeniu Armii Radzieckiej, to dla niej trawy sięgające czoła, zapach gruszek i lasu. I wycieczki dorożką nad wodę w każdą niedzielę. Był taki moment, kiedy w czasie jazdy woźnica skręcał



(1) Jako Honoratka z Franciszkiem Pieczką jako Gustlikiem w serialu „Czterej pancerni i pies”, 1969 r.; (2) Z Jerzym Wasowskim i Jeremim Przyborą w komedii „Upał” Kazimierza Kutza, 1964 r.; (3) W „Jak być kochaną” Wojciecha Hasa, 1962 r.; (4) Ze Zbigniewem Cybulskim w „Rękopisie znalezionym w Saragossie” tego samego reżysera, 1964 r.



i jechał jakiś czas wysoko położonym wałem. Za każdym razem mama, zwykle odważna i zasadnicza, zasłaniała ręką oczy i błagała, żeby wracali. Małą Basię w duchu rozśmieszało to do łez, już wtedy lubiła podpatrywać ludzi, wylapywać komizm sytuacji. Ta scena wróci do niej po latach, tylko że wtedy nie będzie jej już tak wesoło. Na wycieczce za granicą w czasie zwiedzania, gdzieś w połowie wspinania na wieżę, bardzo ażurową, siadła nagle na także ażurowych schodach. Nie poszła dalej, drogę powrotną przerażona pokonała, szcółgując się na pupie z zamkniętymi oczami. Lęk wysokości ma do dziś. Dla niej Kazimierz Dejmek w słynnym „Żywocie Józefa” (1965) w jednej ze scen zamienił balkon na ganek. A trzy lata temu w „Peer Gyncie” reżyser Paweł Miśkiewicz musiał obniżyć szafę, na której siedzi grana przez Barbarę Krafftównę bohaterka.

To, że będzie aktorką, wróżyli w rodzinie od zawsze. Przebierała się w stroje matki i tańczyła na parapecie. Założyły się z przyjaciółką, która z nich przyciągnie więcej widzów. Ilu sąsiadów spojrzy zza firanki, ilu przechodniów z dołu zatrzyma się, żeby podziwiać je w oknie. Wygrała oczywiście Basia.

W głowie została jej też scena, jak mokra od potu wbiega na strych z wiadrami wody i przez okienko leje tę wodę w rynny, tak żeby w nich dudniło. Żeby wszyscy myśleli, że pada deszcz.

Miała wtedy z osiem, może dziewięć lat. I niezły charakterek. Jak w domu było dłuższą chwilę cicho, od razu ktoś z dorosłych się podrywał. Gdzie jest Basia?!

A jednak powtarza, że dzieciństwa prawie nie miała. Skończyło się krótko po tym, jak wybuchła wojna.

KARTECZKA NA GRUZHACH

Pamięta, że na początku była przede wszystkim ciekawa tego, co się wydarzy. I jak w okolicy ich podwórka pojawił się pierwszy porzucony motocykl z przyczepą. Został, bo komuś zabrakło do niego benzyny, towaru deficytowego. Wchodziła do przyczepy i... huśtając się w niej (miękkie resory), wyobrażała sobie, że pędzi przed siebie. Wspaniałe miejsce zabawy. A potem? Zapamiętała głównie stan nadzwyczajnej czujności, obserwowanie innych, ale tak, żeby nie widzieli, że ktokolwiek

To, że będzie aktorką, wróżyli w rodzinie od zawsze. Przebierała się w stroje matki i tańczyła na parapecie. Założyły się z przyjaciółką, która z nich przyciągnie więcej widzów. Ilu przechodniów z dołu zatrzyma się, żeby podziwiać je w oknie

na nich patrzy. I nasłuchiwanie. W szkole, do której chodziła, bez przerwy nasłuchiwało się kroków. To były tajne komplety pod przykrywką kursów gospodarstwa domowego. Uczennice przychodziły w fartuchach. Nad stolnicami uczyły się historii, polskiego, matematyki. Wszystkiego na pamięć, nie było mowy o notatkach, każdy bał się rewizji.

W roku 1943 Krafftówna trafia do podziemnego studia aktorskiego słynnego reżysera i pedagoga Iwona Galla. Na zajęcia bierze ją ze sobą starsza o kilkanaście lat siostra Marysia (Basia z czworga rodzeństwa była jedynym wspólnym dzieckiem rodziców, wdowy i wdowca z dziećmi z pierwszych małżeństw). Bierze ją głównie dlatego, żeby Basia nie zostawała w domu sama. Nasilały się łapanki, rewizje. Zajęcia z aktorstwa odbywały się w prywatnym mieszkaniu reżysera i jego żony, aktorki Haliny Gallowej, położonym w kamienicy dokładnie naprzeciwko gmachu gestapo. Pani Gallowa, żeby zająć czymś Basię, dała jej do zadeklamowania wierszyk. Potem drugi, trudniejszy, i kolejny. Gall był nią zachwycony. Tylko ten jej głos. Słabiutki, w teatrze nie będą słyszeć nawet drugie rzędy.

Próby przerywa powstanie. Miasto zamienia się w pył. To zostaje w człowieku do końca życia. Krafftówna wspomina, jak po wojnie trafiła do Łodzi, prawie nietkniętej przez Niemców. Szła ulicami i nie mogła się nadziwić. Że są domy, firanki w oknach. Kuliła się, miała wrażenie, że to wszystko teatralna dekoracja, która zaraz na nią runie. Mówi, że nawet teraz ma w sobie piętno gruzów.

W 1941 roku śmiercią naturalną zmarł ojciec Barbary. Powstała nie przeżyła cała jej pozostała rodzina. Ewakuowali je z mamą i siostrą w okolice Łowicza. Kiedy po wyzwoleniu wrócili do Warszawy, w mieście na gruzach toczyło się życie. Wszyscy szukali bliskich, zostawiając zdjęcia i karteczki z informacjami o sobie w miejscach, gdzie kiedyś stały ich domy.

CIEPŁA ZUPA W TEATRZE

Na gruzach kamienicy naprzeciwko gestapo kartkę zostawił Iwo Gall. Szukał swoich uczniów. Tak do niego trafiła. Pierwszy rok studiów aktorskich zaliczyła w Krakowie, w Studiu Dramatycznym Iwona Galla. Po zdanych egzaminach przenieśli się ze studium do Gdyni, do Teatru Wybrzeże.

Jest archiwalne zdjęcie, na którym widać grupę młodych ludzi wysypujących się z ciężarówki. I inne, na którym ta sama

grupa pochyla się nad talerzami z zupą. Na czas czyszczenia i remontu prawdziwego teatru za scenę i mieszkanie służył im budynek starego hotelu. Mieli do dyspozycji taras, kuchnię, salę do dansingów. Nie było mebli, spali na słomianych podściółkach, wspólnie gotowali w wielkim kotle, prali, myli podłogi. Byli jednocześnie aktorami, suflerami, inspicjentami. Pierwsza premiera: „Homer i orchidea” Tadeusza Gajcego.

Basia w tym czasie chodzi na lekcje śpiewu i stawiania głosu. Tego, który wszystkie dzieci w Polsce będą kojarzyć z bajek na czarnych, winylowych płytach. Z „Ali Baby i czterdziestu rozbójników”, ze „Śpiącej Królowej”, z „Wyprawy na szklaną górę”. Na razie dzięki lekcjom u profesora Ludwiga głos jej się znacznie wzmacnia, mimo że ona sama pali wtedy jak smok. Opiumowane pall malle, które statkami przyplływają do portu w Gdyni. Skończy się na rozedmie płuc. Dziś śmieje się, że płaci za dawne grzechy. Nie pali, mięso je sporadycznie, ćwiczy, nie pije kawy ani herbaty, tylko ciepłą wodę. No i gorącą czekoladę.

Na każdym kroku podkreśla, jak ważnym człowiekiem był dla niej Iwo Gall. Mistrzem, mentorem, osobą, której zawdzięcza swój warsztat i całą edukację. A jednak zostawiła jego teatr.

ZAKOCHAŁAM SIĘ W CZWARTEK NIECHĄCY

Zarzeka się, że wcześniej nigdy nie była zakochana. Żadnych młodzińskich porywów serca. Ta pierwsza miłość przydarzyła jej się w roku 1953 w Warszawie. Podczas pochodu pierwszomajowego. Nazywał się Michał Gazda, był aktorem. W jednym z wywiadów Krafftówna wspomina: „1 maja nieśliśmy razem szturmówkę z napisem »Niech żyje 1 maja«, 17 maja Michał oświadczył mi się, a już 1 czerwca odbył się ślub”.

Małżeństwo trwało prawie 17 lat. Dwa lata po ślubie urodził się ich syn Piotr. Wszystko skończyło się w jednej chwili. Michał dostał ataku serca za kierownicą. Nie zdołano go odratować.

Był to czas, kiedy o Barbarze Krafftównie mówiło się już jako o jednej z najciekawszych aktorek pokolenia. Pracowała w Teatrze Dramatycznym, potem Narodowym pod dyktando Kazimierza Dejmki. Po drodze była też kilkuletnia przygoda z Kabaretem Starszych Panów. Program był nadawany do 1966 roku, cztery lata wcześniej Krafftówna dostała propozycję głównej roli w głośnym obrazie „Jak być kochaną” Wojciecha Hasa. Film zdobył trzy nagrody na festiwalu w San Francisco. Za scenariusz, reżyserię i za główną rolę kobiecą. Czasy były takie, że nikt z ekipy nie ma szans na wyjazd. Oficjalna uroczystość z festiwalowymi władzami odbędzie się dopiero 20 lat później. W niezwykłych okolicznościach.

EKSPERYMENT

Wyjechała do Ameryki tuż po odwołaniu w Polsce stanu wojennego. Wziąć udział w eksperymencie. Miała grać „Matkę” Witkacego po angielsku. Pomysł szalony, bo w ogóle nie znała angielskiego. Wcześniej przez rok uczyła się roli fonetycznie (dostanie za nią zresztą nagrodę magazynu „The Drama Logue”). Przyznała kiedyś, że gdyby ktoś wcześniej jej powiedział, ▷

Nadal występuje na scenie, dobrze zna repertuar warszawskich teatrów, chodzi na wystawy, ma cięty dowcip

że będzie grać Witkacego w Stanach po angielsku, a do tego tam zostanie, uznalaby to za głupi żart. A jednak.

Została z powodu Arnolda Seidnera, dyrektora w instytucie, którego polska sekcja zorganizowała Krafftównie recital. Kiedy Seidner zorientował się, że to ta aktorka, która za rolę Felicji w „How to Be Loved” dostała Golden Gate Award, zorganizował konferencję prasową, pokaz i uroczystą galę.

Arnold był drugą jej wielką miłością. Rozumieli się, mimo że on nie mówił po polsku, a ona znała angielskie archaizmy z Witkacego. W niecałe pół roku po ślubie Basię spotyka przykre zdarzenie. Po jednym z recitali została okradziona. Straciła dokumenty, przyjechała do Polski wyrobić nowy paszport, mąż miał do niej dojechać. Ale nie dojechał. Zmarł na zawał.

Mówi: „Nie spotkałam osoby, która nie miała momentu przełomowego w swoim życiu. Łącznie z największymi tragediami lub oszałamiającym sukcesem”. W dzieciństwie słyszała bez przerwy: „Nie garb się, usiądź porządnie, zachowuj się”. Nie chodziło tylko o dobre maniere, ale i o postawę życiową, samodyscyplinę. Do tego doszły surowe wojenne warunki.

Nie było miejsca na histeryzowanie, widziała też rodziców, ludzi z pokolenia pamiętającego obie wojny światowe. Oni potrafili znaleźć się w każdej sytuacji.

Kiedy słyszała od bliskich pytania, dlaczego nie wraca do Polski, nie potrafiła odpowiedzieć. Współpracowała z teatrem polonijnym im. Heleny Modrzejewskiej w Los Angeles i ze sceną na Uniwersytecie Kalifornijskim. Grała mniej, dużo się uczyła. Zdobyła obywatelstwo amerykańskie.

Do Polski przeprowadziła się w połowie lat 90., ale nadal wraca do Stanów, kiedy tylko może. Tęskni za różnymi drobiazgami, zresztą tam też tęskniła za tym, co tutaj. Zaraz po powrocie zagrała w serialu „Bank nie z tej ziemi”, potem dostawała kolejne propozycje.

Cztery lata temu nawiązała współpracę z Remigiuszem Grzelą. Napisał dla niej dwie sztuki: „Błękitny diabeł” i „Oczy Brigitte Bardot”. Obie wystawiane w Teatrze na Woli. Krafftówna po raz kolejny stanęła też na scenie Teatru Dramatycznego, gdzie za rolę w „Peer Gyntie” została wyróżniona Feliksem Warszawskim. Ma na koncie m.in. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski i Złoty Medal Gloria Artis.

Jeśli jest w czymś staroświecka, to chyba w sposobie siedzenia (siedzi wyprostowana, ze złączonymi nogami, mam wrażenie, że dzisiaj siedzą tak tylko baletnice). Dobrze zna repertuar warszawskich teatrów, chodzi na wystawy, ma cięty dowcip. Kiedy dziennikarze pytają, czego chciałaby jeszcze w życiu spróbować, odpowiada: „wszystkiego”. □

